TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 10. *Chicago, Ills., 2 Września, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

W dolinie między dwoma ramionami gór, niezbyt daleko od namiotów królewskich położonej i zasłonionej od wystrzałów nieprzyjacielskich, dostało mu się stanowisko, z którego więcej się rozpustom dworskim jak działaniom nieprzyjacielskim mógł przypatrywać. Pod wystającą nieco skałą, obok wyniosłego buku, który skały dotykał i po niej rozłożyste gałęzie rozwodził, leżał na słomie nasz rotmistrz i poglądał na towarzyszów swojej chorągwi, wzdłuż parowu w szałasach i namiotach rozłożonych i na szeregowców, zajętych to pojeniem, to karmieniem koni. — Hełm jego wisiał na gałęzi, chorągiew roty stała oparta o skałę, szabla leżała przy nim na posłaniu, kulbaka z pistoletami w olstrzach burką pokryta służyła mu za wezgłowie. Gniewały go właśnie odgłosy wesołej muzyki, które od namiotów królewskich do niego dochodziły i nieczynność obozu przypominały; kazał przystąpić trębaczom chorągwi, ażeby więcej wojennym

dźwiękiem umysł rozweselić, gdy ujrzał zdaleka jeźdzca, który z góry ku niemu spieszył. Dał znak trębaczom, ażeby się uciszyli i rzekł do przybyłego:

— Cóż mi za nowiny zwiastujesz Jordanie?

— Przybywam nawiedzić cię pustelniku i dowiedzieć się dla czego od nas wszystkich tak stronisz? Czyto nie słyszysz jak tam wesoło na górze? Król, książe i podskarbianka, wszyscy pytają się o ciebie.

— Jeżeli tylko po to przyjechałeś, to odpowiedz tym, których to dziwi, że ja samotnie pod tą skałą leżę, i żeś mię widział bolejącego na to, że nam czas drogi tak marnie upływa, i że się gorszę słysząc wesołe dźwięki tam, gdzieby tylko działa grać powinny.

— Na wszystko będzie czas, bracie; my wśród zabaw nie zapominamy o zamku, który prawdziwie śpiewający zdobędziem. Król pośle jutro do dowodzącego w nim Agi wezwanie poddania się, i do kilku godzin przypuszczenie szturmu odłoży; jutro więc będziesz mógł posłyszeć miłe tobie odgłosy, a natychmiast po poddaniu się zamku wojsko naprzód pójdzie.

— A czy dalej kobiety towarzyszyć nam będą?

— Nie, nie obawiaj się tego; królowa wróci ztąd z całym orszakiem swoim do Żółkwi lub Jaworowa, nie będziesz już więcej utyskiwał na jej bytność w obozie; ale gdybyś wiedział co się to nam dzieje, tobyś bardziej jeszcze był niechętny całej jej kobiecej wyprawie.

— I cóż takiego się dzieje?

— Oto zaloty panów i dworzan do twojej podskarbianki. Ona wszystkich zajmuje pięknością i rozumem, a od chwili jak tutaj przybyła, nabrała jakiejś nadzwyczajnej odwagi. Przysłuchuje się z radością wystrzałom armatnim, radaby się była przypatrzyć zdobyciu twierdzy, chciałaby widzieć walecznych ubiegających się o to, który z nich pierwszy na te wały wejdzie; zachęca wszystkich do boju i wczoraj w zapale rzekła do księcia Jakóba w obec posłów zagranicznych: iżby to największem dla niej w życiu szczęściem było, gdyby wśród dobywania tej twierdzy mogła zerwać ten znak dwurożny, który z tamtej baszty grozi.

— Nie gadaj? — rzekł na to Ruszczyc, który się był uniósł nieco na posłaniu podczas tej powieści Jordana i z rozweseloną twarzą mówił dalej: — Otóż to mi dziewczyna, w niejto wre krew prawdziwie polska. Niedaleko pada jabłko od jabłoni; czemu to się nie syn temu poczciwemu Modrzejowskiemu urodził? jakiżby to wojak był z niego!

— Wszystko to dobrze, ale to jej piękne zalety, ten zapał szlachetny, którym ciągle jest przejęta, podobała się wszystkim, a to niekoniecznie dobrze dla twoich dalszych widoków; ty nie możesz przewidzieć jeszcze bracie, jakie ci się trudności nawiną; miej się na baczności, tyle ci powiadam; więcej domysłów moich udzielać ci nie mogę. „Sapienti sat” — i dość na tem.

— Czy mi znowu będziesz groził owym gładkim Francuzem, który się Modrzejowskiej zaleca; niestraszny on dla mnie, a podskarbianka wie zapewne dobrze o tem, że ona lepszego warta. Zresztą jak tylko będę miał czas wolniejszy, to się z nim rozmówię i potrafię mu wybić te zaloty z głowy; ale teraz nie mam czasu myśleć o tem, bo nie chcę zaprzątać się miłosnemi sprawami, gdy mnie wojenne rozprawy całkiem zajmują.

— Jeżeli chcesz, możesz dziś jeszcze odsadzić twego współzalotnika; poczyniono tam bowiem zakłady i odkazywano się nawzajem odwagą. Na owym wzgórku wzmocnionym stoi oddział turecki od reszty warowni odcięty; stanął zakład między bliższymi króla wojakami a kobietami, że go pierwsi dzisiaj w ich oczach zdobędą, i postanowiono iż ten, kto przyniesie turban którego z Turków postawionych, otrzyma wstęgę na niezabód od Maryi. Mondor kasze się niezmiernie na tę wyprawę, dobrzeby może było, ażebyś rotmistrzu między walczącymi stanął.

— Nie dla mnie taka wyprawa, moja krew na co lepszego przyda się królowi jak na to, abym ją miał dla przypodobania się niewieście przelewać. Ale przybędę zawsze, przypatrzę się też, jak się wymuskany Francuz z Turkiem potykać będzie.

— Więc się zabieraj co żywo, bo zaraz po zachodzie słońca mają ruszyć na tę wycieczkę.

Powstał Ruszczyc, wziął hełm i zbroję, kazał sobie podać kopią, przypiął pałasz i siadłszy na dzielnego rumaka, rzekł odjeżdżając z Jordanem:

— Nie jako rotmistrz lecz jako prosty towarzysz stanę tam z daleka ażebym w gwałtownej potrzebie mógł kopię o łeb turecki skruszyć.

Kłusem pośpieszyli obadwa przed namioty królewskie; Jordan wrócił do nich dawszy wprzódy słowo przyjacielowi swemu, iż nikomu bytności jego nie oznajmi. On zaś stanął opodal nad pochyłością, którą się ku wzmiankowanym czatom tureckim spuścić miano, w zamiarze objechania stanowiska i uczynienia niespodziewanego napadu.

Słońce zachodziło właśnie za warownią, ostatni blask jego sięgał przez szczyty basztów do namiotów królewskich, na najwyższym punkcie okolicy umieszczonych, i oświecał gromadę ludzi, w której rozpoznawano niewiasty dosyć nieprzezornie jakby na jakie widowisko przed namiotami zgromadzone. Cień zupełny padał na wąwóz, przez który ochotnicy przebyć musieli, tak iż nie widać było w oddaleniu murow warowni, obok których tym wąwozem przejechać wypadalo, ażeby dojść do posterunku, który znieść chciano.

Niedługo minęło Ruszczyca trzech strojnie przybranych jeźdźców, a między nimi wprzodku Mondor, za nimi tyluż szeregowców, którzy mieli odebrać konie od panów swoich wtedy, gdy ci pieszo na wgórze wchodzić i posterunek napadać mieli. Sporym kłusem, jechali lecz milczeli wszyscy. Niedługo zdaleka już tylko słychać było tentent koni, a wnet znikli w pomroku, który okrywał okolicę. Niewzruszony stał Ruszczyc, ciekawy końca wyprawy i zwrócił oczy na słabo jeszcze oświecone namioty królewskie, w których zgiełk i białe szaty niewiast uwagę ściągały.

Wtem rozległ się huk kilku wystrzałów z ręcznej broni i echa powtórzyły go głucho między skałami. Krzyk przeraźliwy dał się słyszeć pod murami warowni. Chrapnął koń Ruszczyca, nadstawił uszy, jakby czekał rychło go ostroga jeźdzca do poskoku wzbudzi. Następnie minęło Ruszczyca dwóch jeźdzców jeden za drugim, bez hełmów, w największym pędzie wracając do polskiego obozu; za nimi pędził z rżeniem koń bez jeźdzca.

— Myślałem ja zaraz, że to się źle skończy — rzekł sobie nasz rotmistrz, schwycił kopię, dał ostrogę koniowi i ruszył czwałem ku miejscu zkąd okrzyki trwogi pochodziły. Nadbiegł pod mury warowni, a postrzegłszy kilku Turków z niej wypadłych, uprowadzających z konia zsadzonego Mondora, którego szeregowcy naprożno bronić usiłowali, natarł śmiało na nich, powalił kopią na ziemię tego, który go prowadził, zerwal się do szabli i dodawszy odwagi walczącym Polakom, zmusił do ucieczki bissurmanów i z ocalonym a rannym Mondorem do namiotów królewskich pospieszył.

Wyprzedzili go znacznie dwaj towarzysze Mondora, którzy w ucieczce ocalenie znaleźli i największym strachem przejęci, wpadli do obozu z krzykiem trwogi, jak gdyby wszystkim jakie niebezpieczeństwo groziło. Już byli minęli obozowe czaty, a jeszcze uciekali i wtedy dopiero wstrzymali konie, gdy się przed namioty królewskie zbliżyli. Na hałas przez nich zrobiony wybiegli wszyscy na przeciw nim; hajducy z pochodniami oświecili to zebranie, gdzie z jednej strony największy przestrach, a z drugiej szyderstwo i śmiech panowały. Dwaj ocaleni dworzanie pierwszy raz dopiero z nieprzyjacielem się mierzyli a smutne wrażenie niepomyślnej wyprawy tak było mocne, że zsiedli już z koni i stali przed królem, a jeszcze przez chwilkę mówić nie mogli.

— Cóż się to znaczy? — zapytał król z uśmiechem — mówcież panowie junacy, gdzież wasz dowódzca? — gdzie wasze hełmy? gdzie turban zapowiedziany?

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł jeden z nich — nie mogliśmy przewidzieć zasadzki, która nasze zamiary zniweczyła.

— Dobry żołnierz — odparł król — wszystko przewidzieć powinien, i jam się tego spodziewał, że jak się tą drogą nieostrożnie pod bramy warowni podsuniecie, to na was zrobią wycieczkę Turcy, którzy mogą widzieć co się u nas dzieje. A cóż się stało z Mondorem?

— Poszedł w niewolę turecką — rzekł smutno jeden z dworzan.

— Gdybym była przewidziała, że się ta nieroztropna wyprawa tak skończyć może — rzekła królowa, — tobym jej nie była dozwoliła.

— Nie lękaj się najdroższa — odpowiedział król — o los twego dworzanina, jutro go razem z warownią odbierzem.

Wtem dał się słyszeć hałas; z daleka spostrzeżono zbliżających się kilka jeźdzców; rozstąpiło się koło tych, którzy dawniej przybyłych dworzan otaczali; wjechał w nie Ruszczyc spokojnie, a za nim dwóch szeregowych prowadzących między sobą konia, na którym siedział wybladły krwią zbroczony Mondor, chwiejąc się ną obie strony. Nie poznano z razu Ruszczyca,

dla tego że kopię dzierżył w ręku i prostego tylko wydawał towarzysza. Lecz tenże zsiadł z konia, śmiało do króla się zbliżył i uniósł przyłbicy.

— A, co widzę? — zawołał monarcha, — nasz rotmistrz? Jakimże cudem odbiłeś Mondora?

— Miłościwy Panie — odparł Ruszczyc — niesławąby to było wojsk Waszej Królewskiej Mości, gdybyśmy choć jednego człowieka pod tak nędznym zamkiem stracić albo poganom w niewolę oddać mieli. Przypadek zdarzył, żem widział zdaleka niedoświadczonych młokosów osoby swoje i W. K. M. sławę narażających; jakżem miał nie wybawić ich od zguby?

— Dobrześ zrobił Ruszczycu — rzekł król podając mu rękę. — W tym razie nie tylko odważnym, ale i wspaniałomyślnym byłeś.

Królowa dodała także podziękowanie za wybawienie swego dworzanina, lubo widać było niechęć na jej twarzy. Skłonił się Ruszczyc i gdy z uszanowaniem ściśnienie ręki od króla odbierał wysunęła się naprzód z pomiędzy niewiast Marya i rzekła:

— Najjaśniejszy Panie! w obec W. K. M. zawarty był zakład, mocą którego ja zwycięzcy dnia dzisiejszego skromną nagrodę dać miałam; racz W. K. M. rozstrzygnąć, komu ją teraz złożyć?

— A Mościa Panno — odpowiedział król — niechaj serce WPanny w tym razie sędzią będzie.

— Kiedy W. K. M. tak rozkazujesz — rzekła skłaniając się skromnie monarsze Marya, zbliżyła się do Ruszczyca i z uniesieniem podając mu przepaskę niebieską mówiła do niego:

— Panie rotmistrzu, racz przyjąć z mej ręki ten upominek walecznemu przeznaczony, i lubo niewieści, pamiętaj na to, że mam serce, które piękne czyny wysoko cenić umie.

Nieustraszony rotmistrz drżącą jednak ręką sięgnął po ofiarowaną sobie wstęgę. Pierwszy raz w życiu łączyła się w sercu jego pociecha sumienia ze słodką radością zyskania przychylnych względów, tej, która kiedyś losy jego dzielić miała. Pomieszany nie wiedział jak ma dziękować Maryi; lecz gdy uczuł serdeczne ściśnienie tej ręki, która mu wstęgę oddawała, wzbudziło się w nim żywe czucie, które przemogło nad wrodzoną nieśmiałością tak, iż z zachwyceniem rękę Maryi ucałował.

Szczerze dzieliła Marya wzruszenie rotmistrza, i zapomniała na chwilę o wszystkich innych uczuciach, które często jej sercem miotały. Królowa widząc jej tryumf i chcąc ukończyć tę scenę powszechnego uniesienia, którą przesadzoną mianowała, rzekła do Maryi.

— Mościa Panno, godziłoby się podobno mieć staranie o nieszczęśliwym rannym, który z twojej przyczyny cierpi. Każ przywołać lekarza mego i mieć o chorym jak najlepsze staranie. Mogłabyś sama nieodmawiać mu swojej pomocy; w obozie najpiękniejszem powołaniem niewiasty jest zajęcie pielęgnowaniem rannych.

Uczuła całą niesprawiedliwość tego zarzutu Marya i z żywym rumieńcem na twarzy, ze łzami w oczach, poszła wypełnić odebrane rozkazy. Ruszczyc stał chwilę jeszcze w zadumieniu, patrzał ponury za oddalającą się Maryą, nakoniec ocucił się z głębokiego zamyślenia, obrócił się raptownie do króla i rzekł:

— Czy W. K. M. nie masz co do rozkazania?

— Nie, — odparł król — idź na spoczynek poczciwy wojaku; jutro zdobędziem warownię i pójdziem dalej.

Słońce wschodziło z za góry, gdy huk kilkunastu armat przebudził Ruszczyca, nie należącego do tych, którzy przy zdobyciu Jazłowieckiego zamku czynnymi być mieli. Porwał się z razu na ten znany odgłos, który go silnie wzruszył i mimowolnie poniekąd żądzą chwały i walki przejął. Lecz gdy sobie przypomniał, iż ten odgłos nie był dla niego hasłem do boju, zwrócił naprzód oczy ku namiotom królewskim; słodka tęsknota zajęła umysł jego, zamyślił się nieco, a potem schwyciwszy pałasz do ręki, rzekł z gniewnym wyrazem:

— Jordanie! Jordanie! na jakąś ty mnie niepotrzebną walkę wystawił.

ROZDZIAŁ XI.

Zwykłe z pokojem płoche rozwodzą nadzieje,
Tu ci kłosy hołdują, tu się łąka śmieje;
Tu lipa opiekuńczem okrywa ramieniem,

Strumień wita z napojem, a jaskółka z pieniem;
Szanuj mierność i pokój, niech ci będzie miła
Niezwodna w darach rola, co ojca żywiła.

Brodziński.

Wystrzały armat, które Ruszczyca czujność wzbudziły, były zapowiednią poddania się zamku Jazłowieckiego. Dowodzący w nim Aga, wezwany przez króla do poddania się odpowiedział: iż wtedy dopiero stanowczą da odpowiedź, gdy odgłos dział polskich usłyszy; a gdy stósownie do tego wezwania dano ognia z bateryi naprzeciw samego zamku założonej, a nad całą warownią panującej, wywiesił natychmiast znak poddania się i zdał się na łaskę królewską. Widząc zaś jaki go los czeka w własnym kraju, oddał się dobrowolnie w niewolę polską, a wprowadzony do namiotów królewskich zdumiał się, że w nich tyle niewiast zastał, i zapłakał nad tem, że przez niewieście poniekąd wojsko podbity został. Królowa ulitowała się nad jego losem i wzięła go z sobą do Polski, gdzie mu w jednym z zamków królewskich przystojne umieszczenie i swobodne życie obmyśliła.

Nazajutrz po zdobyciu Jazłowieckiej twierdzy zwinięto obóz, wojsko ruszyło naprzód, a królowa po czułem pożegnaniu z dostojnym małżonkiem swoim, wróciła z całym dworem do Żółkwi.

Skoro się tylko wiadomość jej powrotu po okolicy rozeszła, zjechała do Żółkwi tęskniąca za wychowanicą swoją ciotka Maryi, i za dozwoleniem Królowej wzięła ją z sobą na czas niejaki do swego domu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Ciąg dalszy.)

— A gdyby się go przekonało, że ty którego on pozbawił wolności i majątku, przecież mu nie złorzeczysz, owszem miłujesz go po chrześciańsku; żeś ty mnie nauczył podobnież go miłować i uczynić mu dobrze, że gdyby nie twoje napomnienie i nauka, możebym była zdolną słyszeć wrzask nieszczęśliwego dziecka z dzikiem ukontentowaniem zemsty, zamiast wziąść się do jego wyswobodzenia; a zatem, że właściwie ty jesteś, który przezemnie ocalił jego syna, gdyby to wiedział, zdaje mi się, ta okoliczność zwalczyłaby zaciętość. Czyby to już nie było żadnego nań środka?

— Być może, ja nie wiem! Z tem wszystkiem nie można obecnie nic rozpoczynać, aż Kunerych wróci; ja aż do jego powrotu zostać tu muszę, bo widzisz, gdyby mnie nawet Hildegarda uwolnić chciała, tej ofiary ile bardzo nie-

bezpiecznej dla niej i dla mnie przyjąć nie mogę. Bo nawet gdyby mi pozwolić chciała używać wolności w świeżem powietrzu, toby mu było powodem do rozmaitych myśli, a ja nie chcąc jej wystawić na jakieś podejrzenia, i tej grzeczności nie mógłbym przyjąć. Najlepiej przeto, moja dobra córko, ty się nie odkrywaj, a ja z wolą Boga zostanę w niniejszym stanie. Wszakże obecna rozmowa rozczula nas oboje, przestańmy o tem mówić, a zacznijmy o czem innem.

Hildegarda słyszała już dosyć, żeby pojąć stan rzeczy, dalsza rozmowa już jej nie wiązała, spiesznie przeto opuściła więzienie i wróciła na pokoje. Jakkolwiek pora nocna spóźniona, przecież sen pierzchał z jej powiek, bo podziwienie, litość i boleść miotały jej umysłem i sercem. Myślała sobie: ta oto mniemana węglarzówna jest córką Edelberta; żeby być bliżej ojca i służyć mu, przyjęła służbę u dozorcy, ubiorem służebniczym pokryła szlachetność swego ducha; owoc, który jej podarowałam, poniosła jemu, a bez wątpienia czyniła mu wszystko co jakośkolwiek ulżyć mogło ostre położenie; nie chciała być oswobodzoną z trudnej służby, ażeby jej nie była odjęta sposobność służenia ojcu. O jakże to piękne serce ma ta córka! O jakże się cieszyć powinni rodzice z tak dobrego dziecka! A to dziewczę, którego ojciec okuty w kajdany, z jego rady i nauki, ocaliło mego syna! Jaka to szlachetność, jaka przewaga cnoty! Nie, ten mąż nie powinien być dłużej w niewoli, jemu powinno wszystko być zwrócone, najokrutniejsza niesprawiedliwość wyrządza się, gdy cnotę istotną depczą nogami, bo ona jest godną, aby ją wynieść na najwyższe miejsce! Gdyby to w mojej mocy leżało, uwolniłabym Edelberta i córkę jego natychmiast i to jeszcze tej nocy oddałabym mu zagrabione dobra; ale czyby mnie usłuchał burgrabia? Czyżby tanenbergski rządzca na mój rozkaz oddał zamek Edelbertowi! Ani o tem myśleć można, w tych stosunkach, w jakich pod ten czas kobieta stoi we względzie rządów. A potem Edelbert zna, widzę doskonale mego męża i przewiduje na jakiebym się wystawiła nieprzyjemności, zarządziwszy się podług mego przekonania. Nic tu biedna stanowczo działać nie mogę, ale skoro mąż wróci, przedstawię mu rzecz w istotnem świetle, zdejmę mu z oczu zaślepienie, przełamię jego upór i nie prędzej przestanę nalegać, aż wykona co sprawiedliwość każe. Tymczasem jakże się zachować względem Róży; czy przyjąć ją do siebie i obchodzić się z nią stósownie do jej stanu? Jakieżby to wrażenie uczyniło; ogłosiwszy w ten sposób, że jest córką uwięzionego rycerza, przecięłabym przeto wszelką sposobność służenia mu, bo najmniejszej przypuścić nie można wątpliwości, żeby natenczas burgrabia wziął więźnia pod ściślejszy dozór i w żaden sposób nie dopuściłby córki do ojca. Roztropnośc przeto i własne dobro obojga nieszczęśliwych, każe zamilczeć o tem odkryciu stosunków, aby tymczasem można sekretnie osłodzić im ich położenie. Może się wkrótce nadarzy pora stósowniejsza do odkrycia tajemnicy.

ROZDZIAŁ XVII.

Róża prosi o wolność dla ojca.



Dnia następnego rozkazała Hildegarda przywołać do siebie Różę, i mimo chęci nie wydania się, że już pojęła jej tajemnicę, nierównie z większą jak kiedyś przyjęła ją uprzejmością.

— Ja wiem, — mówiła — że ty temu rycerzowi, który jest u nas uwięziony, szczególniej dobrą jesteś, masz nad nim osobliwsze politowanie, i radabyś ulżyła jego niedoli; to mi się bardzo podoba. Ale ty dobre dziewczę sama nic nie masz. Wreszcie co? — oto ja ci będę dopomagać, żebyś zdolną była działać podług dobroci serca twego. Odtąd będziesz brać z mojej kuchni i z mego sklepu żywność dla niego. O to cię tylko proszę, żebyś to z wszelką ostrożnością wykonywała; uważaj na to, żeby

twoja dobroczynność nie podpadła pod oko burgrabiego i ludzi szczebiotliwych języków.

I odtąd uszczęśliwionej Róży sama dawała najsmaczniejsze potrawy i najlepsze wina ze swego stołu. Umiała tę swą dobroczynność tak ukryć, że nikomu nie dała powodu do podejrzenia. Burgrabiego, co do stosunku Róży z Edelbertem, tak gruntownie uspokoić umiała, że był bez wszelkich trosków i odtąd nie śledził Róży. Codziennie bywała w pomieszkaniu dozorczyni, zapewniając, że to czyni z wdzięczności dla tej, co stała się wybawicielką jej syna, a w taki sposób działała na ulżenie służby, ile że dozorczyni widząc tak wielce szanowaną swą sługę, nie posunęła się nigdy do czegoś takiego, coby jej sprawić mogło jakąkolwiek przykrość. W wolnych od zatrudnień godzinach musiała Róża przybywać na zamek, ale że to i z dziećmi dozorczyni, więc ta ujęta tą grzecznością, najmniej miała wolnego umysłu, żeby w tem coś nadzwyczajnego widzieć.

Tymczasem Hildegarda wyglądała z upragnieniem powrotu swego męża, i gdyby ją nie był uprzedził, iż jest zupełnie zdrów i zamyśla wkrótce powrócić, byłaby niemylnie wyjechała do obozu, aby rozstrzygnienie losu Edelberta i jego córki przyspieszyć. Wreszcie wrócił Kunerych z dwoma znakomitymi rycerzami i większą częścią swego wojska do Fychtenberga, wśród okazałości tryumfalnych. Kunerych skoczył z konia, pozdrowił swą żonę wraz z dziećmi wybiegłymi ze zamku na przywitanie męża i ojca, a po czułem przywitaniu udał się z znakomitszymi towarzyszami swymi prowadzony przez gospodynię domu, do sali rycerskiej, na czekającą ich tam ucztę. Gdy się uspokoił, zgiełk radośny pierwszych przywitań, z okoliczności, że ojciec nie mógł do syta nacieszyć się z widzenia swego jedynaka, wystąpiła matka z opowiadaniem smutnego zdarzenia, któreby niechybnie przerwało było nić życia jego, gdyby nie odwaga i przytomność Róży. Kunerycha przeszedł dreszcz, gdy sobie wystawił to oczywiste niebezpieczeństwo.

— Więc byłbyś się utopił, a ja nie miałbym obecnej radości widzenia ciebie Eberhardzie! O jakże wielkie nieszczęście zlałby ten przypadek na mnie i twoją matkę! Krew się ścina w moich żyłach na wspomnienie tego nieszczęścia! Chłopcze bądźże ostrożniejszym!

Matka przyniosła sukienkę, w którą był Eberhard ubrany, gdy wpadł w studnię i wskazała dziurę przedartą hakiem, na którym zawisł w studni. Kunerych pilnie przypatrywał się owemu rozdarciu i z wzruszeniem odrzekł:

— Najmniejsza zwłoka ratunku, byłaby go zgubiła, oto parę nici tylko trzymały jeszcze ciężar cały dziecięcia. W istocie biedna ta dziewczyna uczyniła nam wielką przysługę; jej poświęcenie, jej odwaga jest w rzeczy samej godna uwielbienia; to czyn bohaterski wyższy nad zdolności płci żeńskiej. A czyś ją stosownie do zasług wynagrodziła?

— Wymierzenie nagrody zostawiłam tobie, wszystko bowiem, cobym jej uczynić mogła, zdało mi się nierównie niżej od jej zasługi, bo ona życie swoje na niebezpieczeństwo wystawiła. Ja odchodziłam właśnie od zmysłów, gdym ją ujrzała wiszącą w wiadrze nad przepaścią. Taka rzecz nie da się złotem opłacić; zwłaszcza gdy to niepojęte dziewczę nic sobie nie czyni ze złota. Odesłałam ją przeto do ciebie po nagrodę i sądzę, że mnie nie powstydzisz.

Jeszcze Kunerych nigdy nie był tak rozczulonym, jak obecnie; usilnie zażądał, aby natychmiast po dziewczę posłano. Na wezwanie stawiła się, weszła do sali skromnie i przyzwoicie ułożona.

— Witajże! — zawołał radośny Kunerych, witaj młoda bohaterko, wybawicielko syna mego! Kiedym cię w pomięszkaniu stróża pierwszy raz widział, anibym pomyślał, że w tobie mieści się taka odwaga, taka wspaniałomyślność, taka cnota! Winien ci jestem wielką wdzięczność, bez ciebie byłbym nieszczęśliwym ojcem, a dzień dzisiejszy byłby dniem okropnego smutku! Żądaj odemnie co chcesz, a żądaniu twemu zadosyć się stać musi. Oto ci przysięgam na słowo rycerskie, że choćbyś zażądała jednego z moich zamków Fichtenberga czy Tanenberga, będzie ci dany!

Róża odrzekła spokojnie z panieńską skromnością:

— Rycerzu! wyrzekłeś wielkie słowo w obec tych szanownych świadków; na zasadzie tej przysięgi, mogłabym wyprosić sobie większą jeszcze łaskę nad tę, którąś mi napomknął. Ale ja nie żądam żadnej łaski, tylko proszę, wymierz mi sprawiedliwość: daj mi, daj ojcu memu to, coś zabrał.

— Co?! Jabym ciebie i ojca twego pokrzywdził? Ktoś ty jest, kto twój ojciec?!

— Pod tym służebniczym ubiorem widzisz panie ukrytą Różę z Tanenberga; ojciec mój jest Edelbert. Wypuść go z więzienia, oddaj zabrane nam dobra, a wymierzysz nam żądaną sprawiedliwość; nadto nic więcej nie żądam.

Przytomni w sali dwaj rycerze i znaczna liczba znakomitych wojskowych, na to odkrycie Róży wpadli w zadziwienie, a Kunerych cofnął się parę kroków w tył i stanął jak wryty. Jak mocno go zajął szlachetny czyn Róży, tak również dzielnie odezwała się w nim zastarzała nienawiść ku jej ojcu; w duchu jego walczyły dwie przeciwne sobie namiętności; zbladł, oczy jego zaiskrzyły się i mruknął niby do siebie samego:

— Jeden z zamków moich dałbym za to, gdyby ktoś inny, nie córka tego człowieka syna mojego wybawiła.

Wszystkich przeraziła ta nagła zmiana Kunerycha i milcząc, kłopotliwie spoglądali po sobie. Na ten czas małżonka jego głosem przymilającym odrzekła:

— Od kilku dopiero dni wiem, że ta biedna dziewczyna jest córką Edelberta. Z miłości ku swemu ojcu, żeby mu mogła usłużyć w więzieniu, przybyła w tem służebniczem odzieniu do zamku, przyjęła służbę u dozorcy więzienia i znosiła wszelkie grymasy żony jego cierpliwie, jakich żadna z okolicy służebnica długo wytrzymać nie zdoła. Najostrzejsze prace, które jej nieochybnie były trudniejsze, jak innym do takowych przyzwyczajonym, wykonywała skwapliwie. Ile razy widziałam z okna jak ta córka szlachetna dźwigała ze studni wodę lub zamiatała podwórze, serce mi się rozdzierało wiedząc kto ona jest, co tak trudne i przykre wykonywa prace. Nie mogłam się wydać z tem, iż mi wiadomo czem ona jest, bo nie chciałam wyprzedzać męża mego w wykonaniu słuszności; z utęsknieniem czekałam na jego powrót; teraz Kunerychu jest właśnie czas, żebyś się rządził ludzkością. Gdyby Róża z Tanenbergu nie była wybawicielką syna twego, to samo jej tak chlubne, tak nieograniczone poświęcenie się dla swego rodzica, powinno cię pobudzić do zgody z ojcem tak szlachetnej córy, powinno zwalczyć twoje uprzedzenia!

— W istocie, — odezwał się Siegbert jeden z rycerzy, — to co ta panna dla ojca swego uczyniła, jest nierównie znakomitszem jak to, że wyratowała dziecię. Ostatni czyn mógł być czynem momentalnego popędu, jaki czasami opanuje i mniej szlachetne umysły; ofiarowanie się zaś na to trudne i ostre życie, którego końca obliczyć nie można było, dla miłości ojca, pokazuje wielkiego i wspaniałego ducha. Taki umysł pełen miłości dla rodziców, jest droższym nad wszystkie klejnoty świata. Na miejscu twojem Kunerychu będąc, najmniejbym się namyślał; co tu uczynić należy.

— Kunerychu! — dodał inny rycerz Teobald, — gdyby Edelbert w rzeczy samej tak był tobie nieprzyjazny, jak ty sądzisz, pod twoją niebytność, mógł ci był wyrządzić całkowitą zgubę. Zważ tylko: gdyśmy się bili kilkadziesiąt mil od twego domu odlegli, twój główny nieprzyjaciel w zamku twoim uwięziony, ale cóż? w ręku jego córki złożone klucze od więzienia; pytam się, cóż byś ty będąc w miejscu Edelberta uczynił? Nie, Kunerychu! Edelbert nie jest twoim nieprzyjacielem, nie masz powodu być mu tak nieprzyjaznym.

Kunerych stał właśnie osłupiały, zdawał się nic nie słyszeć, tarł sobie czoło rozpalone, oczy wszystkich były nań zwrócone. Róża wzniosła swoje ku niebu i zdawało się, że jej duch błaga przed tronem Najwyższego.

Hildegarda odezwała się na nowo:

— Drogi Kunerychu, jeszcze jedną okoliczność ci wspomnę; słuchaj mnie łaskawie! Sądzisz, że Edelbert jest twoim najzaciętszym nieprzyjacielem, ale ja mam niezbite dowody, iż dotąd, co do tego punktu jesteś w błędzie. Gdyby inaczej było, nie byłabym godną ciebie małżonką, za nim błagając, owszem, przyzwoiciej by było żądać od ciebie, żebyś go głębiej jeszcze uwięził. Ale rzecz się nie tak ma jak ty sądzisz, o czem cię zaraz przekonam.

— Wiedzże więc, że ja sama tylko jestem, która odkryłam, że Róża jest córką Edelberta; aż do momentu, gdy ona sama wyznała ci czem jest, żaden człowiek w zamku prócz mnie o tem nie wiedział. Twoi nawet ludzie, którym bezpieczeństwo zamku pod niebytność twoją powierzyłeś, tak mało domyślać się mogli o stosunkach Edelberta z Różą, jak mało i ty sam przeczuwałeś. Gdyby nie ja, niktby, nawet sam twój burgrabia, na ten pomysł nie był wpadł, że córka uwięzionego rycerza nocną dobą odwiedza ojca. Chciałam się dowiedzieć jaki jest

przedmiot ich rozmowy, i w późną noc udałam się do więzienia w powyższym celu, ukryta przysłuchiwałam się ich rozmowie. Nie sądźcie o mnie źle, iżem się uniżyła aż do podsłuchiwania sekretnej rozmowy, bo tego wymagała po mnie całość familii, i myśl odwrócenia możebnego niebezpieczeństwa; własnemi uszami chciałam usłyszeć czy nie knują jakiego zgubnego zamachu. Spostrzeżoną w żaden sposób być nie mogłam, rozmowa przeto była otwarta, niewątpliwie szczera, jaka miejsce mieć może między ojcem i córką, sądzącymi, że im tylko Bóg sam jest świadkiem. I cóż tam myślisz usłyszałam? Ach to, co mnie powstydzić musiało, iż o tych ludziach poczciwych przypuściłam do myśli mojej podejrzenie! Edelbert nie ma ku tobie najmniejszej nienawiści, on nie tylko czyn swej córki pochwala, lecz owszem jest jego najistotniejszą sprężyną. On to bowiem jest, który nauczył swą córkę, jak utłumiać naturalny żal ku tobie, złem za złe nie oddawać, lecz owszem, przy każdej sposobności dobrze ci czynić. Wątpię bardzo, czyby Róża bez tego ojcowskiego napomnienia ratowała była twego syna. Edelbertowi zatem winieneś właściwie ocalenie syna twego, i on by miał być twoim nieprzyjacielem? Nie, twój sąd zasadza się na uprzedzeniu! Nie Kunerychu! nie myślę, żebyś o tem wszystkiem wiedząc, mógl dopuścić, iżby Róża wyszła z zamku bez pociechy. Boże! rozpędźże tę ćmę, co tak okrutnie osłania rozum i serce mego męża!

Na to odpowiedział Kunerych głosem stłumionym:

— Róża niech odbierze Tanenberg ze wszystkiemi należytościami, ale Edelbert zostanie jak jest.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

MIKOŁAJ POTOCKI MIĘDZY ZBÓJCAMI.

Nieznany szczegół z życia tego magnata.

Mikołaj Potocki był to magnat polski rozpasany na wszelkie bezprawia. Poetycznie opisał jego czyny Rzewuski w „Opowiadaniach Soplicy." W książce pięknie się czyta o tych różnych możnowładcy wybrykach, ale ubolewać tylko można, że ówcześni magnaci dopuszczali się takich bezprawi. W każdym razie jest to ciekawa i charakterystyczna postać, ztąd nie od rzeczy będzie przytoczyć ciekawy wypadek z jego życia, podług rękopisu Synakiewicza, który znał osobiście starostę z Kaniowa. Otóż rzeczony Synakiewicz tak opowiada:

Mikołaj Potocki, jak i inni magnaci polscy, utrzymywał własnym kosztem i dragonów i kozaków, z którymi ustawicznie jeździł po swych rozległych dobrach, wybierając dochody, podatki i czynsze, które milionami do swej rezydencyi przywoził. Wielkie te skarby zwróciły nań uwagę zbójców, atoli obawiali się nań uderzyć z powodu zbrojnej siły, zawsze mu towarzyszącej.

W pewnym boru trzy mile szerokim, były dwie karczmy, jedna od drugiej o dwie mile oddalona. Karczmy dzierżawili żydzi, którzy byli w zmowie z dwudziestu czterema zbójcami. Otóż czy żydzi i zbójcy ułożyli plan bardzo dowcipny, aby starostę złupić.

Jedzie Potocki owym borem, a naprzód jechał oddział dragonów, aby dla starosty wszystko przygotować. Przybywa dowodzący oficer przed karczmę i pyta się:

— Żydzie! masz owies, siano, mięso?

— Nie mam, — odpowie arendarz.

Oficer pojechał zaraz do drugiego gościńca, sądząc że pan jego może milę sam bezpiecznie jechać. Przyjeżdża niedługo starosta do owej karczmy i pyta się:

— Czy tu byli dragoni?

— Byli, — żyd odrzecze, — Ale oficerowi się nie podobało i pomaszerował do drugiej karczmy.

— A masz siano, owies, mięso, drób?

— Mam, — była odpowiedź.

Zatem starosta nie przeczuwając żadnej zdrady, kazał powozom powjeżdżać. Kucharz zajął się zaraz przygotowaniem wieczerzy, stangreci i forysie krzątali się przy koniach, a żyd arendarz donosił służbie skwapliwie gorzałki, aż się wszyscy popili. Jeden tylko foryś, cierpiący na febrę, został trzeźwy na szczęście swego pana.

Za nadejściem nocy ludzie w stajni zasnęli, tylko w izbie trzech ze służby zostało przy jakim takim rozumie. Żyd, zamykając okiennice, dał hasło rozbójnikom, a ci w liczbie 24 wpadli najprzód do kuchni i pomordowali zaraz służących, a inni wpadli do stajni i zabili śpiących. Forysia u góry leżącego na sianie nie spostrzegli, ale on ich widział. Po odbyciu tej rzezi wpadli uzbrojeni w pałki i noże do karczmy. Tymczasem foryś szybko dosiadł konia i popędził na złamanie karku do dragonów w drugim gościńcu. Oficer dowiedziawszy się co zaszło, wyruszył zaraz na pomoc.

Zbójcy wpadają do izby karczemnej i otaczają starostę. Ten nie uląkł się na ich widok, bo mimo wszelkie gwałty i morderstwa, któremi się splamił, trzeba było przyznać, że to był pan mężnego animuszu. Zbójcy pytają się:

— Czyś to ty starosta Kaniowski?

— Jestem, — odrzecze.

— A masz pieniądze?

— Mam, oto w tej szkatule, na ławie!

Zbójcy zaraz szkatułę porwali, postawili na stół i wysypali złote dukaty. Żydek wesoły zapalił świec kilkanaście, aby jasno było i radził, aby kwartą dzielić, bo i on do łupu miał należeć. Starostę zaraz do koszuli rozebrali, a drzwi dla bezpieczeństwa zamknęli. Zaczną mierzyć kwartą złoto, atoli starosta rzecze:

— Moi panowie! kwartą źle mierzyć, gdyż jedni dostaną więcej, a drudzy mniej, najlepiej ja was podzielę, to nikt nie będzie skrzywdzony.

Mówił tak umyślnie, aby uzyskać jak najwięcej czasu, w nadziei, że dragoni przybędą mu na pomoc. Liczył tedy każdemu po 500 dukatów po trzy razy, aż mu ręka zwisła i pot kipiał mu z czoła. Dłużyło się zbójcom, przecież byli cierpliwi. Gdy już złoto znikło w ich trzosach, dalej w radę, jaką śmiercią zgładzić starostę za tyle gwałtów i zbrodni. Jedni mówią:

— Poćwiertujemy go, drudzy chcą, aby mu członki odrzynać. Zgodzili się na to ostatnie. On się prosi, aby mu pozwolili pomodlić się do Boga. Pozwolili, a tymczasem kazali postawić kilka garncy miodu, który pili za jego zdrowie. Starosta ukląkł i modlił się szczerze, jak nigdy w życiu, a ci wołają na niego, aby kończył modlitwy, gdyż zaczną go męczyć.

W tem służąca widząc spinkę kosztowną u koszuli, prosi aby jej pozwolili tę spinkę odjąć. Zbójcy zezwolili, ale jakoś długo nie mogła odpiąć, gdyż ta spinka dyamentowa, w złoto oprawna, była na sprężynie. Zbójcy jeszcze raz kazali dać miodu, a służąca męczy się nad odpięciem spinki. Było tego zadługo rozbójnikom, więc jeden z nich odciął nożem spinkę od koszuli i oddał dziewczynie, a potem wprowadzili starostę na środek karczmy i stanęli naokół z nożami. Już, już go mają rżnąć nożami, gdy wtem na dworze wszczął się jakiś hałas. Byli to dragoni, którzy karczmę otoczyli. Spojrzy oficer szparą w okiennicę i widzi, co się dzieje. Zakomenderował tedy ognia. Starosta słysząc komendę, padł na ziemię, wtem kule świsnęły, a zbójcy padli na ziemię zabici lub poranieni. Starosta prędko drzwi otworzył i dragonów wpuścił.

Dopieroż radość wielka, że pana od śmierci ochronili. Najprzód podobijali zbójców, a potem jedli i pili pełni wesołości. Nazajutrz przetrząsnęli karczmę. Znaleźli sklep ogromny, a w nim co niemiara ubiorów mezkich i białogłowskich, litych pasów, drogich naczyń, a pieniędzy pełne beczki. Trzeba było kilkanaście wozów sprowadzić, aby to wszystko zabrać. Zaraz udali

się do drugiej karczmy, gdzie to samo się powtórzyło. Krótki zrobił proces, gdyż żydów kazał powywieszać, a karczmy z gruntu spalić.

Starosta okazał się wdzięcznym, gdyż te wszystkie ubiory i sprzęty darował żołnierzom, a prócz tego wyliczył każdemu żołnierzowi tysiąc talarów, a oficerowi 10,000 tal., zaś forysia ożenił z tą dziewczyną i kupił im folwark za 30,000 złotych, a oprócz tego dał kilkanaście tysięcy złotych na zagospodarowanie.

(Koniec.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Kto z was będąc w obczyznie nie uradował się tam niezmiernie, spotkawszy się tam z ziomkiem, choćby zupełnie nieznanym dawniej; jak najchętniej do niego się zbliżał i rad był, jeśli przynajmniej słówko do niego przemówić mógł w ojczystym języku. Tak też każdy z nas uwielbia i czci za granicą każdą pamiątkę po rodaku, który tam przebywał. Czuje on radość i dumę, choć czasem z głębokim smutkiem połączoną, kiedy za granicą słyszy z ust ludu, lub widzi na kamieniu wyryte słowa: „Oto tutaj żył, czynił dobrze, wsławił się i był kochany... Polak — twój rodak"! — Nie pytam się wtedy, czy to król, czy książę, czy prosty tylko człowiek; wszystko mi jedno, wiem, że to Polak. I tak nad grobem wspaniałym króla Leszczyńskiego, jak nad grobem biednego czeladnika, a byle Polaka, przenoszę się duszą do ukochanej Ojczyzny; a cóż nad nię mamy milszego? I gdybyś przeszedł całą ziemię wszerz i wzdłuż, wszędzie znajdziesz pamiątki naszego narodu.

— Ty Macieju, mówisz, żeś był w Moskwie, A czy nie słyszałeś o naszym hetmanie Żółkiewskim, o królu Batorym, o księciu Józefie Poniatowskim? — Byłeś w Turcyi i na Wołoszczyźnie! Czylibyś wyliczył sławne imiona tych mężów, co to naszego rodu imię orężem aż w tamtych krainach wsławili? — A Węgry?.... Węgry, które dawniej pod jednym królem z Polską były połączone; — A Wiedeń? ten Wiedeń, co naszemu bohaterskiemu Janowi III Sobieskiemu zawdzięcza wyswobodzenie od Turków? I w Hiszpanii znają Polaków z waleczności, a nawet w Afryce; a w Ameryce jeden z najdzielniejszych naszych konfederatów barskich, Pułaski, poległy pod Savannah walcząc za wolność amerykańską, i nasz naczelnik Kościuszko słyną po dziś dzień w ustach wolnych Amerykanów. A co, czy nie wielki, nie dzielny nasz naród? czy nie wstyd dla nas nie znać swego narodu dziejów? —

Skończył Kazimierz, a słuchacze jego pospuszczali głowy i zamyślili się,... nic nie odpowiadając, aż nareszcie wstał starszy Mikołaj i tak rzekł do Kazimierza:

— Kazimierzu, mamy do ciebie prośbę.

— I owszem! — rzekł uprzejmie Kazimierz; — proszę was powiedzcie, czem wam mogę służyć?

— Oto, rzecze Mikołaj, prosimy cię, abyś w wolnych chwilach opowiadał nam, albo czytał o naszym kraju, o naszych królach i o naszych dziejach. Bo ot człowiek nibyto Polak, a wstyd powiedzieć nie wie nic o Polsce. Twoje słowa dopiero jakoś nam otworzyły oczy; i dla tego prosimy cię, abyś nam tak co kilka dni zechciał z godzinkę poświęcić, opowiadając dzieje naszej Ojczyzny.

— Zgoda! jak najchętniej, zawołał Kazimierz. A możemy to sobie bardzo ładnie ułożyć. Każdy z was ma kogoś znajomego; możnaby i tych na naukę zaprosić. Raz zejdziemy się tutaj, drugi raz pójdziemy gdzie indziej, inny raz znowu gdzie indziej, i tak sobie wieczorkiem lub w święta będziemy gawędzili o dawnych czasach. Ja, ile się nauczyłem, będę wam opowiadał; zresztą mam z sobą ładne książki, to będę wam i czytał, a tym sposobem dowiemy się wiele pięknych rzeczy o naszej Ojczyźnie. Jakże, czy zgoda?

Wszyscy z ochotą przystali, uściskali Kazimierza, i od najbliższej Niedzieli rozpoczęli swoją naukę.

Czy nie pięknie popisał się nasz Kazimierz? Nie tylko że sam pilnie i sumiennie wypełniał swoje obowiązki, ale i towarzyszów swoich do wszystkiego dobrego starał się zachęcać.

Oby nam Pan Bóg takich Kazimierzów dawał jak najwięcej!

Tak podzieliwszy sobie czas między pracę i naukę, przepędzał go użytecznie w Warszawie; lubiony i kochany od swych towarzyszów; a choć od nich młodszy, szanowany. Jedno jego słówko pochwały lub nagany więcej u nich ważyło, niż tysiące słów innego, a cały jego pobyt w Warszawie bardzo zbawienny wpływ wywarł na jego towarzyszów, — złych poprawił, dobrych w dobrem utwierdził.

VII.

Pijak.

Był między czeladnikami pana Karola niejaki Piotr Stropski, robotnik, jakiego szukać, zwinny szybki i dokładny; był żonaty i miał dwoje dzieci. Ale miał wielką wadę.

Były dni, gdzie robił za dziesięciu, gdzie robota w jego rękach się paliła; trwało to dwa, trzy tygodnie, nawet miesiąc i dwa miesiące; ale potem ktoby był przyszedł do tokarni, ujrzałby jego toczydło puste; nie było Piotra czasem po trzy, cztery dni, czasem i po całych tygodniach.

A czeladnicy wtedy mawiali: — Ho, ho! pewnie nasz Piotr znowu toczy u Szrajbera — i śmiali się.

Kazimierz jednak nie śmiał się, smucił się owszem z upadku swego towarzysza; a kiedy go potem gdzie zdybał, przemawiał do jego serca, przypomniał mu żonę, dzieci, Boga; i nieraz udawało mu się odwrócić go od powtórnego upadku. Bo też Piotr bardzo szanował Kazimierza.

Aliści jednego razu Kazimierz wszedłszy do tokarni ujrzał znowu puste toczydło Piotra, a robotę nie dokończoną.

Przykro bardzo mu się zrobiło i zapytał Mikołaja, czemu Piotrowe toczydło nie zajęte?

— Ma on — odpowiedział Mikołaj — u Schrajbera inne toczydła: jednem toczy piwo, drugiem wódkę, trzeciem wino. Ot szkoda człowieka, bo zresztą poczciwy, a jak nie pijany, to i żonę i dzieci kocha, i o nie się stara.

Nic nie odpowiedział Kazimierz na to, lecz był więcej niż kiedykolwiek zamyślonym i małomównym; często wzdychał, często przerywał swoję robotę. Widać, ciężko mu było na sercu. A nareszcie wieczorem zapytał się:

— Gdzież to ten Szrajber mieszka?

— A ot, rzekł jeden z czeladników, mieszka na starem Mieście w domu pana Krzysztofa, co to zamówił u nas tę piękną szafeczkę do fajek, którą masz w robocie.

— A gdzie mieszka Piotr? — zapytał dalej Kazimierz.

Na to odrzekł Mikołaj: — Oj, to trochę daleko, bo aż za rogatkami Powązkowskiemi, kawałek za cmentarzem, w domu starego kowala.

Podziękował za odpowiedź Kazimierz i wziął się znów do roboty; z toczydła aż się iskry sypały, nożyk skrobał, dłutko dłubało; nałożono politurę i wnet skończona była robota na dzisiaj.

Już dobry był wieczór, kiedy się Kazimierz ubrał, coś ze swego kuferka wyjął, schował do

kieszeni, pożegnał kolegów i wyszedł na ulicę. Puścił się wprost drogą ku stronie północnej Warszawy; szedł długo, aż przyszedł do rogatek Powązkowskich, i minął je. Szedł potem koło cmentarza na Powązkach, odkrył głowę, zmówił modlitwę za zmarłych, spojrzał na cmentarz ten wyglądający jak ogród wspaniały, zasadzony drzewami i kamiennemi głazami, zasypany ślicznemi pomnikami;... i szedł dalej; aż za cmentarzem ujrzał samotny domek.

Jakiś głos wewnętrzny mówił mu; To tutaj!

I zapukał do drzwi domu.... i zapytał, czy tu mieszka Piotr Stropski?

Otwierający mu drzwi mężczyzna, już podstarzały, odrzekł: — Tutaj! — i wskazał ręką przez sień, dzielącą domek na dwie części.

Szedł Kazimierz za daną mu wskazówką; ciemność go otoczyła do koła, jakaś wilgoć i stęchlizną biły ze wszech stron.... aż w końcu trafił omackiem na jakieś drzwi, porwał za klamkę i stanął w małej izdebce.

Wszedł, ale choć izdebka była oświecona, nic prawie nie mógł dojrzeć. Przetarł oczy, bo zdawało mu się, jakby jakaś zasłona zawisła przed jego wzrokiem. Gęsta para, jakby mgła, napełniała całą izdebkę; odurzający zapach ługu i mydlin ledwie dozwalał oddychać. Świeczka łojowa ze spopielonym knotem wisiała na sznurku u środka powały, i miala niby to całą izbę oświecać. Jakaś kobieta pochylona nad balią z bielizną prala, dziewczynka prawie dwunastoletnia razem z matką tarła drobnemi rączętami grube płótno, a chłopaczek mały kwilił w kołysce, jeżeli proste koryto nazwać kołyską można. W izdebce ledwo cztery kroki szerokiej a sześć długiej był tapczan z siennikiem, stół prosty drewniany stał pod oknem, w środku izby mały stołek, a na nim balia. Na tapczanie, na stole i po ścianach porozkładana i porozwieszana była bielizna. Jedna tylko ozdoba była w tej nędznej komórce; był to prosty obraz Matki Bozkiej zawieszony nad tapczanem. Zresztą przypatrzywszy się lepiej, nie widział Kazimierz w izbie ani brudu ani nieporządku. Kobieta sama, jak i jej córeczka, czysto i chędogo — choć ubogo były ubrane; ale wszystko pokazywało, że to były czystość i ochędoztwo nędzy i nadzwyczaj wytężonej pracy.

Piotrowa, bo istotnie była to żona Piotra, nie oglądając się na wchodzącego Kazimierza, usłyszawszy otwierające się drzwi, zawołała żałośnie: — Ach proszę was, Szymonie, wszak przyrzekłam wam że na jutro będziecie mieli koszulę gotową. Oto patrzcie sami, że ją piorę! — a mówiąc to, podniosła koszulę, którą właśnie w mydlinach tarła, i zwróciła się ku przychodzącemu. Lecz spostrzegłszy, że przed nią stoi zupełnie obcy młodzieniec, zaklopotała się mocno, puściła koszulę i rzekła!

— Ach! to.... to nie Szymon;.... to pan.... ach! proszę pana, może pan zbłądził.... bo tu ja mieszkam, praczka Stropska!

Poczciwy nasz Kazimierz uspokoil ją mówiąc: — Właśnie to do was, pani Piotrowa, miałem interes... Ja jestem Kazimierz Berdysz.

Ach! pan Kazimierz! zawołała uradowana Piotrowa. Opowiadał mi mój mąż o panu wiele... wiele,... ach! proszę pana, czem mogę służyć?

— Przychodzę po sprawunku, odrzekł jej Kazimierz. Praczka, której dotąd dawałem prać bieliznę, już mi nie będzie prała, więc prosiłbym was, czybyście nie chcieli uczynić mi tej przysługi?

Ach! panie Kazimierzu! rzekła Piotrowa, jakżebym ja to chętnie uczyniła, ale pan, jak widzę, masz cieńszą bieliznę, a do mnie dają tylko taką.

I pokazała mu płótno grube, zgrzebne i szare. I westchnęła biedna kobieta.

Córka jej tymczasem była wyszła i wróciła z krzesłem, obtarła je czystym fartuszkiem, postawiła i prosiła Kazimierza, żeby zechciał zająć miejsce. A matka jej szepnęła: — Dobrześ uczyniła, moja Zosiu!

Podziękował Kazimierz, usiadł i mówił dalej: — A co mi tam do tego, czy płótno grube, czy cienkie, ja się na tem nie znam, byleby było czysto wyprane, byleby guziki nie były poobrywane....

— Jak się co oberwie, odezwała się na to Zosia, to ja wszystko poprzyszywam.

— A tak — dodała Piotrowa — to prawda, że moja Zosia, to moja prawa ręka.

— Więc zgoda, rzekł Kazimierz, jutro przyniosę brudną mą bieliznę.

— Ależ ja sama pójdę po nię, odezwała się Piotrowa, albo Zosię po nię poślę.

— Tak tak, ja pójdę po nię, odezwała się Zosia, pocoby pan sam miał dźwigać?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Sprawozdanie Curtiera o długiej zimie, o ubóztwie kraju, o braku złota i srebra uśmierzył dawniejszy zapał Francuzów. Dopiero po czterech latach urządzono nową wyprawę. Curtier zamierzał zabrać ze sobą pojmanego króla Huronów, lecz ten umarł z tęsknoty za ojczyzną Krajowcy pomni na uprowadzenie swego króla, okazywali się nieprzyjaznymi tak, iż Francuzi byli zmuszeni wybudować twierdzę na wyspie Orleans, w pobliżu Quebec, gdzie się przezimowali i w czerwcu 1542 powrócili do Francyi. W tym samym czasie przybył do Nowej Fundlandyi Robertval z 200 ludźmi. Popłynąwszy rzeką św. Wawrzyńca, przybył także do Quebec i kazał wybudować jeszcze dwie warownie. Przebywszy zimę pełną trudów i znojów, wyrzekł się wszystkich planów kolonizacyjnych i powrócił do Francyi. Robertval wrócił 6 lat później do Canady, popłynął znów rzeką św. Wawrzyńca i od tego czasu — niesłyszano o nim nic.

We Francyi toczyła się wtenczas wojna religijna; było to w czasie reformacyi; zasady i nauki Lutra, Kalwina i innych wywołały niepokoje i zaburzenia religijne. Walka religijna zajmowała umysły wszystkich; nie można się więc dziwić, że rząd francuzki przez następne pięćdziesiąt lat nie uczynił żadnych kroków w celu kolonizacyi odkrytego kraju. Prywatne osoby zajęły się jednakowoż tą sprawą. Hugenoci (protestanci francuzcy) widząc się prześladowanymi, postanowili emigrować. Pod dowództwem Jana Rigault wypłynęło ich wielu z Francyi w dniu 28 lutego 1562 r. Przybyli nasamprzód do Port St. Augustine w Floridzie, zkąd popłynęli na północ i odkryli rzekę św. Jana w maju 1562 r., którą dla tego nazwali rzeką majową. Płynąc dalej wybrzeżem przybyli do zatoki Port Royal, gdzie im się tak podobało, iż postanowili się tam osiedlić. Wybudowali więc małą warownię, którą nazwali „Carolina". Rigault wrócił do Francyi po więcej ludzi i zasoby, lecz w Francyi panowała wtenczas wojna cywilna i dla tego nie mógł zaraz wrócić. Osadnicy, których pozostawił, nie mogąc go się doczekać, wybudowali mały statek i puścili się w drogę do rodzinnego kraju, lecz burze zaskoczyły ich i byliby niezawodnie zaginęli, gdyby nie byli spotkali statku angielskiego, który ich zawiózł do Anglii.

Laudonierre urządził rok potem inną wyprawę. Towarzysze jego wybudowali, przybywszy do dawniejszej osady, drugą warownię. Lecz wkrótce zaczęły panować pomiędzy emigrantami niesnaski i kłótnie; zasoby zaczęły się kończyć. Część przybyszów pod pozorem powrotu do Francyi zabrała jeden okręt i udała się do Indyi zachodnich, gdzię prowadzili rozbójnictwo morskie. Reszta chciała się już wrócić do Francyi, gdy niespodzianie przybył Rigault ze świeżymi emigrantami i żywnością.

Filip II, król hiszpański, tymczasem rościł sobie prawo do całej Ameryki i postanowił Francu-

zów wypędzić. Dla tego wysłał Piotra Melendez z 300 żołnierzami i 2200 wolontaryuszami, pomiędzy którymi się znajdowali księża, majtkowie, rzemieślnicy, wyrobnicy, niewiasty i dzieci. Flota jednakowoż została rozbita przez burzę. Melendez przybył z trzecią tylko częścią ludzi do pięknego portu w Floridzie, nad którego wybrzeżem założył miasto St. Augustine (17 września 1565) i ogłosił króla hiszpańskiego monarchą całej północnej Ameryki. Francuzi dowiedziawszy się o przybyciu Hiszpanów, wysłali część swych ludzi w celu atakowania ich; burza tymczasem rozpędziła flotę a większa część Francuzów wpadła w ręce hiszpańskie. Hiszpanie zabili każdego z nich. Następnie przedarł się Melendez na czele mocnego oddziału przez lasy i bagna, napadł na bezbronnych osadników francuzkich i wyciął w pień 900 mężczyzn, niewiast i dzieci, powiadając potem, iż ich zabił nie dla tego że byli Francuzami, lecz luteranami. Na tem samem miejscu wystawiono później kościół.

Karol IX, król francuzki, był nietylko słabym monarchą, ale i nieprzyjacielem Hugenotów; dla tego też nie zemścił się za ów gwałt, który Hiszpanie popełnili. Niejakiś Dominik de Gourges, któremu Hiszpanie wiele dokuczyli, przedsięwziął się zemścić na Hiszpanach. Na własny koszt zakupił trzy okręty i z 150 ludźmi popłynął do Floridy, napadł na osadę hiszpańską nad rzeką św. Jana, wziął warownię Carolina, pojmał 200 jeńców i kazał ich powiesić na tem samem miejscu, na którem ziomkowie jego zostali zamordowani. Nad grobem ich dał napis: Nie uczyniłem to dla tego, iż ludzie ci są Hiszpanami lub żeglarzami, lecz ponieważ są zdrajcami, mordercami i rozbójnikami. Nie będąc dość silnym, aby się mógł oprzeć Melendezowi, powrócił do Francyi. Krajowcy radowali się zaś, że biali mordują jedni drugich. Hiszpanie pozostali w końcu mistrzami Floridy.

Upłynęło już przeszło trzy ćwiercie wieku od czasu odkrycia Ameryki przez Columbusa, a jednak Europejczycy nie zrobili znacznego postępu w kolonizacyi Ameryki. Pomimo iż Anglicy nie wyrzekli się tej idei, to jednak dopiero w dwudziestym roku panowania królowej Elżbiety, 80 lat po przybyciu Cabota do Ameryki, rozpoczęli na seryo zajmować się tą kwestyą. Marcin Frobisher i inni szukali nadaremnie złotych kruszców nad północnem wybrzeżem i w puszczach nad zatoką Hudson. Rybacy angielscy i francuzcy przybywali rok rocznie do Nowej Fundlandyi, lecz nie zakładali kolonij. Dopiero gdy Anglicy przekonali się o nadaremnych zabiegach odkrycia skarbów i zwrócili się do bardziej na południe położonych krajów, nastała nowa i świetna epoka w historyi cywilizacyi. Do tego przyczynili się rozbitki po pierwszej wyprawie Hugenotów, którzy jak wiadomo, zostali zawiezieni do Anglii, i tam opowiadali o pięknych okolicach w Carolinie i Floridzie. Niejakiś Raleigh przedsięwziął dwie wyprawy (w r. 1579 i 1583) do Ameryki, lecz obie spełzły na niczem, ponieważ większa część okrętów została zniszczoną przez burze tak, iż z pierwszej i drugiej wyprawy mało kto powrócił.

Lecz Raleigh nie dał się odstraszyć. W kwietniu 1584 uzyskał od królowej pozwoleństwo do nowej wyprawy, z warunkiem iż będzie mistrzem i panem wszystkich nowo odkrytych krajów pomiędzy rzeką Santee i Delaware. Wysłał więc Filipa Amidas i Artura Barlow z dwoma okrętami dla zbadania wybrzeża amerykańskiego. Ci przybywszy do Ameryki wylądowali na wyspach Wococken i Roanoke, niedaleko Caroliny; a zbadawszy cały przyległy kraj, zajęli go dla królowej angielskiej. Przez niejakiś czas prowadzili handel z krajowcami, poczem zabrawszy ze sobą dwóch Indyan, powrócili do Anglii. Opowiadania ich o cudownych tych krajach ucieszyły Raleigha niezmiernie. Królowa sama była zadowoloną i pomna na swój stan niezamężny, nazwała nowo odkryty kraj Virginia (dziewica).

W dniu 19 kwietnia wysłał Raleigh znów siedm okrętów, któremi dowodził Ryszard Grenville. Towarzyszył mu Ralph Lane, który został mianowany gubernatorem nowo odkrytego kraju i Manteo, naczelnik Indyan, który poprzednio był się udał do Anglii. Okręty z wielką biedą uszły rozbiciu nad wybrzeżem Caroliny; dla tego też nazwano tamtejszy przylądek „Cape Fear". Na wyspie Roanoke założyli osadę.

Anglicy popełnili na początku wiele błędów: zamiast zasiać siemię prawdziwego bogactwa, tj. zatrudnić się rolnictwem, szukali tylko skarbów po dziewiczych lasach Ameryki; zamiast wywdzięczyć się za gościnność i przyjaźń krajowców, obchodzili się z nimi brutalnie i dopuszczali się zdrady, tak, iż wzbudzili nienawiść i zemstę Indyan. Plemiona w tych stronach żyjące zawarły nareszcie przymierze i szkodziły im jak mogły zaczepiając ich, zabierając żywność itp. Grenville odbył tymczasem dwa razy podróż do Europy, z Indyj zachodnich zaś przybył w tym czasie Franciszek Drake, który już upadającą osadę cokolwiek podniósł. Grenville odjechał znów do Europy pozostawiając w Roanoke 15 ludzi tylko.

Raleigh nie dał się i nadal odstraszyć przeciwnościami. Zamiast wysyłać awanturników, zebrał znaczną liczbę rolników i rzemieślników z ich familiami, którzy w dniu 26 kwietnia 1587 opuścili Anglię, aby w Virginii założyć kolonię. Jan White został mianowany gubernatorem tej kolonii. Gdy przybyli do Roanoke zastali tylko kości owych 15 ludzi, którzy tam pozostali; mieszkania ich były zniszczone a ogrody spustoszone. Było to dziełem Indyan. Jedyny Manteo pozostał przyjacielem białych, przyjął zresztą religię chrześciańską i został uszlachetniony, odebrawszy tytuł „lord Roanoke". Był to pierwszy i ostatni tytuł szlachecki, który udzielono w Ameryce. Manteo nie mógł jednako-

woż odwrócić burzy grożącej białym. Koloniści wiedzieli dobrze, że im grozi niebezpieczeństwo, dla tego też udał się White do Anglii po posiłki i żywność. Córka jego Eleonora, żona porucznika Dare, porodziła w dniu 18 sierpnia 1587 pierwsze dziecię białe pochodzenia angielskiego; była to dziewczynka, której dano imię Virginia.

Tymczasem wybuchła wojna między Anglią i Hiszpanią. Z powodu tego mógł White dopiero w maju 1589 r. opuścić Anglię; jak zwyczajnie płynął na Indye zachodnie i zabierał mniejsze statki hiszpańskie. Został jednakowoż pobity i zmuszony do powrotu do Anglii. Dopiero w roku 1590 wybrał się znów do Ameryki; przybywszy do Roanoke znalazł tam tylko gruzy. Koloniści i córka Dare'a zniknęli. Pomimo pięciu wypraw podjętych w celu ich odszukania nie dowiedziano się nic o ich losie. W 80 lat później opowiadali Corees'owie angielskim osadnikom w pobliżu Cape Fear, iż zagubieni ich ziomkowie zostali przyjęci przez plemię Hatteras'ów, z którem się zupełnie pomieszali. Anglicy wyrzekli się w tej chwili planów kolonizacyjnych.

Dwanaście lat później podjął na małym statku podróż do Ameryki niejakiś Gosnold. W dniu 14 maja 1602 r. przybył do Nahant, popłynąwszy bardziej na południe wylądował na przylądku Cape Cod tak nazwanego dla niezmiernej liczby w pobliżu się zawsze znajdujących sztokfiszów. Bardziej na południe odkrył Nantasket, winnicęMarty i wyspę Elżbiety, na której wraz ze swymi towarzyszami się osiedlił. Tu wybudowali twierdzę i szpichlerz wielki — widząc się jednak zagrożonymi przez Indyan, powrócili do Anglii. W r. 1603 podjął wyprawę Marcin Beng, który prowadził handel z krajowcami w dzisiejszym stanie Maine i po 6 miesięcznym tam pobycie także wrócił do Europy. W r. 1606 przybył znów do Maine i zbadał kraj dokładniej. Przed nim, bo w r. 1605 odwiedził Maine Jerzy Weimuth, lecz ten udał się na północ szukając drogi do Indyi. Nie mógłszy takowej znaleźć, zwabił 5 krajowców na okręt i zawiózł ich do Anglii. Dzieci te lasów wywołały tam wielką ciekawość.

Francuzi poczęli także na nowo interesować się nowym światem. De Monto, bogaty Hugenota, został zamianowany wicekrólem Nowej Francyi. W maju 1604 przybył z dwoma okrętami do Nowej Szkocyi, gdzie przez całe lato prowadził z krajowcami handel. W jesieni zbudował nad ujściem rzeki St. Croix twierdzę, a w Port Royal (dzisiaj Annapolis) założył silną kolonię. Port Royal, Nową Szkocyę, Nowy Brunświck i sąsiednie wyspy nazwał prowincyą Acadia. W dniu 3 czerwca przybył także do rzeki św. Wawrzyńca Samuel Champlain, który popłynął aż do Quebec, gdzie 70 lat przed nim Curtier wybudował warownię i założył tam pierwszą stałą kolonię francuzką. W roku następnym udał się Champlain bardziej w głąb kraju i odkrył w północnej części stanu New York piękne jezioro, noszące obecnie jego nazwę.

Anglicy tymczasem nie pozostali bezczynnymi. Prywatne korporacye wysłały Henryka Hudson, który miał odkryć drogę do Wschodnich Indyj. Po dwóch nadaremnych podróżach (1607—1608) wyrzekł się swego zamiaru. Później jednakże opatrzony w zasoby przez hollandzką wschodnio-indyjską kompanię, wypłynął z Amsterdamu w dniu 4 kwietnia 1609 r. na okręcie „Half Moon" (Półksiężyc) i usiłował odkryć drogę do Indyi w kierunku wschodnim, to jest płynął na około Norwegii. Lecz gdy mu tutaj lód przeszkadzał, zwrócił okręt, popłynął przez ocean i przybył do Virginii, zkąd znów płynął w kierunku północnym, i zarzucił kotwicę w zatoce nowoyorskiej. Rzekę wpływającą pod New Yorkiem do oceanu nazwał Hudson i ogłosił Hollandyę panią całego kraju, na północ Nowego Yorku w odległości 60 mil pomiędzy rzeką Hudson i morzem leżącego. W listopadzie 1609 r. wrócił do Europy a sprawozdanie jego o nowo odkrytym kraju przyczyniły się do założenia hollenderskiej kolonii w nowym świecie.

Z odkryciami temi rozpoczęły się osiedlenia na dobre; całe wybrzeże atlantyckie zostało całkowicie lub częściowo zbadane; poznano układ, jako i zasoby i źródła nowego kraju, i od tego czasu nie uważały już więcej głośne narody handlowe — Anglia, Francya, Hiszpania i Hollandya — transatlantycki kraj za ogród piękny tylko bez parkanu, do którego każdy mógł wpaść i owoce zabierać jak najkosztowniejsze, lecz za kraj, w którym było można zakładać kolonie, mogące zbogacić i przynieść korzyść krajom, przez które zostały założone.

Śledząc ściśle te podróże przez burzliwy ocean, pomnąc na małe, niedostateczne wiadomości jeograficzne ówczesnych żeglarzy, na słabość i niedokładność statków, niezmierne trudy, mozoły i niebezpieczeństwa, na jakie owi awanturnicy, że tak powiemy, byli wystawieni, to musimy jednakowoż czuć szacunek dla tych, którzy postanowili otworzyć dla postępowych narodów Europy skarbce nowego świata.

(Dalszy ciąg nastąpi).